

Śmieci w trybie a

GOSPODARKA

W przyszłym roku to opłaty za odpady – a nie wydatki na prąd, wodę czy gaz – staną się największą pozycją na domowych rachunkach Polaków

Jakub Pawłowski

Z cudem graniczy dziś znalezienie miasta w Polsce, w którym nie zaplanowano na przyszły rok podwyżek opłat za śmieci. I nie są to wzrosty symboliczne – a co najmniej podwojenie obecnych stawek. W takiej rzeczywistości tuż po Nowym Roku obudzą się mieszkańcy m.in. Przemyśla, Sanoka, Gliwic, Piły, Siedlec, Łodzi, Gdańska, Krosna i Gdyni. Także Warszawy – w niej, w zależności od dzielnicy, podwyżki wyniosą od 100 do nawet 400 proc.

Lawinowo rośnie liczba miast, gdzie stawki przekraczają 30 zł miesięcznie od osoby – tyle płaci się za wyrzucanie odpadów w podziale na pięć frakcji – dla czteroosobowej rodziny to wydatek 120 zł. To dotkliwy cios dla domowych budżetów. Podwyżki zabolą jeszcze bardziej tych, którzy będą uchyłać się od segregowania odpadów. Dziś, o czym mało osób wie, rozdzielać frakcje muszą już wszyscy – taki nakaz wpisany został do uchwalonych w tym roku przepisów. Wraz z nimi kończy się czas dobrowolnych deklaracji o segregowaniu odpadów, co uprawniało do niższej opłaty. Za niewywiązywanie się z obowiązków czekają kary, a w przypadkach zabudowy wielorodzinnej odpowiedzialność zbiorowa. W najłagodniejszym wariantcie kary wyniosą dwukrotność stawki podstawowej, w najgorszym – cztery razy. Dla naszej czteroosobowej rodziny, przy obecnych stawkach, oznacza to 240 zł lub 480 zł sankcji. Przestrzegania zasad segregacji będą nadzorowały firmy odbierające śmieci i to one będą zgłaszać uchybienia – na tej podstawie urząd miasta nałoży karę.

Co gorsza, może to być dopiero początek nadchodzących problemów. Jak może wyglądać najgorszy scenariusz? Tak, że od stycznia odpady zaczną wysypywać się z przepełnionych koszy, które będą opróżniane w „trybie awaryjnym” raz w miesiącu. Przy czym dalej będziemy płacić horrendalnie wysokie stawki za wywóz śmieci.

Puzzle (nie) do ułożenia

W takiej sytuacji znaleźli się pod koniec ubiegłego roku mieszkańcy gmin wokół Warszawy, bo firmy odmówiły dalszego odbierania odpadów za ceny ustalone we wcześniejszych przetargach. Przedsiębiorcom bardziej opłacało się zerwać kontrakty i zapłacić kary niż dalej dopłacać do biznesu. Gminom z kolei nie w smak były gwałtowne podwyżki cen, przeciągały więc negocjacje i powtarzały przetargi, licząc, że zgłosi się firma, która zaakceptuje ich warunki. Ale rzeczywistość zmusiła samorządy do ustępstw – skończyło się na sięgnięciu do kieszeni mieszkańców.

Choć gminy mają teraz więcej pieniędzy do dyspozycji, to jednak w wielu przypadkach koszty i wpływy wciąż się nie bilansują, przy czym opłaty osiągają już limit określony na sztywno w ustawie – niecałe 34 zł. Innymi słowy, więcej od mieszkańców wziąć już nie można. Trzeba byłoby majstrować w niedawno uchwalonej ustawie o utrzymaniu czystości i porządku w gminach (zwanej czystościową) i podwyższyć limity, czego rząd nie bierze pod uwagę.

A co będzie, gdy wpływy od mieszkańców nie wystarczą, by opłacić faktury? Część gmin rozważy dosypanie dodatkowych fun-

duszy – w praktyce oznacza to, że zamiast np. wyremontować szkołę, będą musiały dopłacić za zabranie śmieci. Ale prawo na to nie zezwala, bo gmina nie może na śmieciach ani zarabiać, ani do nich dopłacać, tylko tak nimi zarządzać, by opłaty od mieszkańców i koszty się bilansowały. Jeżeli dosypie trochę grosza, to narazi się na karę za niegospodarność.

Może się jednak okazać, że i takie rozwiązanie nie zdałoby egzaminu. Bo firmy – niezależnie jak wiele zaoferuje się im pieniędzy – i tak mogą nie chcieć odebrać śmieci, nie mając co z nimi zrobić. Nie wpuszczają więc śmieciarek na swój teren. A te albo wrócą do gminy i zwrócą jej odpady, albo wyrzucą je w lesie.

Jak to możliwe, że ten scenariusz staje się coraz bardziej realistyczny? Jeszcze dwa lata temu za wywóz i zagospodarowanie odpadów firmy startujące w przetargach np. w Nowym Sączu żądały od 7 do 15 mln zł, a teraz najniższe oferty zaczynają się od 28 mln zł. Jak doszło do tego, że za tonę odpadów samorządy płaciły wówczas niecałe 200 zł, a teraz kwoty oscylują w przedziale 500-850 zł, z prognoząmi powyżej 1 tys. zł w przyszłym roku? Czy można racjonalnie wyjaśnić, dlaczego mazowiecka gmina Mała Wieś była w stanie opłacić trzyletni kontrakt za 3,9 mln zł w latach 2017-2019, a teraz musi zapłacić 4,5 mln zł tylko za rok 2020?

Powodów jest kilka. Zanim zacznę wytykać legislacyjne potknięcia, nieżyciowe przepisy i serię zaniedbań, ustalmy jedno: swoje na sumieniu mają wszystkie strony problemu. Zawiodły kolejne rządy, nie spisały się samorządy, swoich obowiązków na poważnie nie potraktowali mieszkańcy, od odpowiedzialności migali się firmy. Nieefektywnie inwestowaliśmy miliony złotych w sortownie i zakłady, które nie przystają do rzeczywistości. Reformowaliśmy system za wolno, a przyspieszyliśmy dopiero wtedy, gdy okazało się, że mamy nóż na gardle. W efekcie na strukturalne zmiany, które inne kraje UE wprowadzały od dekad, my mieliśmy zaledwie kilka lat.

Układanka jest skomplikowana, a obarczanie winą tylko samorządów byłoby zbyt proste.

Pseudoekologia, która dobiła rynek

W ocenie branży powody kryzysu są dwa. Pierwszy to wprowadzenie – bez czasu na dostosowanie się – restrykcyjnych przepisów, które doprowadziły do gwałtownego wzrostu kosztów prowadzenia biznesu. Chodzi przede wszystkim o nałożony w 2017 r. zakaz składowania frakcji kalorycznej. To resztki, których nie da się poddać recyklingowi. Ale są łatwopalne i mają wartość energetyczną, bo często powstają z ropy naftowej – mogą być wykorzystane jako paliwo alternatywne. To m.in. fragmenty butelek, strzępki folii, kawałki gumy, drobne plastiki.

Dziś nie można ich już wywieźć na wysypisko. Trzeba je wysłać do spalarni lub cementowni, które zasilą nimi swoje piece. Problem w tym, że takich odpadów mamy więcej, niż instalacje mogą przyjąć. Możemy więc albo ograniczyć liczbę tej frakcji (np. poprzez lepsze segregowanie odpadów), albo budować nowe piece oraz spalarnie. Pierwsze rozwiązanie jest trudne do powszechnego wdrożenia, o czym świadczą wciąż alarmująco słabe statystyki domowej segregacji (ponad 65 proc. śmieci wciąż trafia do jednego, czarnego worka). Z kolei budowa spalarni wywołuje protesty mieszkańców, a proces inwestycyjny trwa kilka lat.

Na tym nie koniec obciążań branży. Wkrótce po uchwaleniu zakazu przez Polskę przetoczyła się fala pożarów, która zmusiła rząd do dalszego zaostrzenia regulacji. Skala zjawiska była niespotykana, bo jak podliczył GUS, ogień rozgorzał w zeszłym roku 243 razy (pustoszył magazyny, składowiska i dzikie wysypiska). Dla porównania rok wcześniej pożarów było 132, a w 2013 r. „ledwie” kilkadziesiąt. Resort środowiska przykrył śrubę przedsiębiorcom i wprowadził serię restrykcyjnych wymogów, takich jak obowiązek instalowania monitoringu czy wpłacania kaucji gwaran-

cyjnych na wypadek pożaru – uczciwe firmy ponownie dostały po kieszeni.

Ale choć kary zaostrzono, to pokusa, by pozbywać się odpadów nielegalnie, nie zmalala. Jednym z głównych powodów takiego stanu rzeczy jest utrzymująca się na wysokim poziomie opłata marszałkowska, w skrócie – ekopodatek za degradację środowiska naturalnego, które traci z powodu hałd śmieci zalegających na wysypiskach. Płaci ją każdy podmiot, który kieruje odpady na składowisko (trafia, wbrew nazwie, do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, regionalnych funduszy oraz gminy, na terenie której znajduje się składowisko). O ile w poprzednich latach opłata wynosiła kilkadziesiąt złotych od tony, tak w 2018 r. kwota ta skoczyła do 140 zł, obecnie to 170 zł, a w przyszłym roku będzie 270 zł. Jak tłumaczy to resort środowiska, taki wzrost jest podyktowany wymogami UE, która chce stymulować takie zmiany w śmieciowym krajobrazie, by w miejscu dzisiejszych wysypisk stały zakłady recyklingu, a surowce zamiast zalegać na hałdach pozostawały jak najdłużej w obiegu. Przewrotnie okazuje się, że uczciwe firmy płacą dziś więcej, a te, które dalej palą, więcej na tym zyskują, bo oszczędzają na coraz wyższych kosztach składowania.

To pierwszy powód wzrostu cen i załamania rynku. Drugi to zamknięcie chińskich granic na śmieci z Europy. W efekcie nastąpiło spiętrzenie odpadów na naszym kontynencie, bo przez lata wysyłaliśmy kontenery najgorszych odpadów do Azji, by tam – jak to wpisywano w papierach – „przeprowadzić proces recyklingu poza granicami UE”. Powiedzieć, że była to fikcja, to nic nie powiedzieć. Chińskie władze potwierdziły, że w zeszłym roku wyrzuciły do morza ponad 200 mln m sześć. odpadów (o 27 proc. więcej niż w poprzednim roku i najwięcej w ciągu dekad), z czego prawie 90 proc. to tworzywa sztuczne. Są to już jednak lokalne odpady, a nie te zwiezione z drugiego końca globu, by w Europie było czystiej, a recykling się opłacał.

To fatalne w skutkach dla przyrody działanie niosło jednak praktyczne korzyści dla europejskiego rynku, który przez lata zajmował się przetwarzaniem wyłącznie wyselekcjonowanych odpadów. Chińskie embargo sprawiło, że pozostały nam miliony ton śmieci, z którymi coś trzeba było zrobić. Zadziałało prawo popytu i podaży. Ceny za surowce wtórne zaczęły spadać, a recykling stał się opłacalny tylko na papierze. – Przez kilka lat, gdy Chiny jeszcze odbierały plastik, instalacje przyjmowały wybrane frakcje bezpłatnie, a nawet nam za nie płaciły. Obecnie to my musimy dopłacać do odebrania odpadów. O ile teraz za tonę płacimy 146 zł, o tyle od stycznia będzie to ok. 1 tys. zł – mówił burmistrz gminy Nowa Dęba na sesji rady miasta.

Fabryki śmieci ze śmieci

Winni zaistniałej sytuacji są również rządzący. Żeby zrozumieć genezę kryzysu, należy cofnąć się do 2012 r. Wówczas mieszkańcy sami podpisywali umowy z firmami śmieciowymi. Skutkiem ubocznym było rozplenienie się patologii – jedną z nich było wyrzucanie przez mieszkańców śmieci do lasów, dzięki czemu firma odbierająca odpady przyjeżdżała rzadziej, co dawało oszczędności. Nieprawidłowości były też nagminne po drugiej stronie. Śmieci łatwiej było porzucić niż wozić na wysypisko. Te praktyki miały ukrocić pierwsza reforma z 2012 r., która przekazała śmieci w ręce gmin i zobowiązała je do zorganizowania systemu ich odbioru. Od tej pory także płacimy określoną stawkę, ale niezależnie od tego, ile i jak często będziemy wrzucać odpady do kubła. Ryczałt wprowadzono po to, by zmniejszyć pokusę nielegalnego pozbywania się śmieci lub puszczania ich z dymem w domowych piecach. Wówczas powstały też wojewódzkie plany gospodarki odpadami, w których oszacowano, ile śmieci produkują mieszkańcy i ile zakładów potrzeba wybudować, by ów strumień zagospodarować. Wyznaczono też miejsca, gdzie te instalacje mają być i jaka



foto: Jacek Dominiński/Reportera

e awaryjnym



będzie ich przepustowość. Chodziło o to, by nie budować za publiczne środki instalacji niedopasowanych do potrzeb: za dużych lub zbyt małych. Sęk w tym, że instalacje projektowano na styk, nie uwzględniając, że śmieci jest więcej, niż wynika to z niepełnych danych (u nas jest to 332 kg śmieci na osobę rocznie, przy średniej unijnej 524 kg) i że przybywa ich z roku na rok.

Wkrótce ruszyła też jedna z największych inicjatyw inwestycyjnych tamtych czasów. Za miliardy złotych powstały zakłady mechaniczno-biologicznego przetwarzania (MBP), które miały segregować śmieci i oddzielać od nich to, co wartościowe i nadające się do sprzedaży, od tego, co może wyładować na wysypisku. MBP to rozwiązania skopiowane z Niemiec. Ale o ile tam były budowane jako dodatek do już istniejącego systemu selektywnej zbiórki, w którym to mieszkańcy wykonywali dużą część pracy w domach i do firm trafiały dużo czystsze strumienie wybranych frakcji, o tyle u nas stały się one jego podstawą. W Niemczech znaczna część odpadów po MBP trafia do spalania i współspalania, zastępując węgiel i inne paliwa kopalne. U nas – na hałdy.

Efekt? Za miliardy złotych wybudowaliśmy sortownie, które branża określa jako „fabryki śmieci ze śmieci”. Innymi słowy: odpady są mechanicznie oddzielane, zaś ich większa część rozkłada się na hałdzie obok. Bo ile udaje się w MBP odzyskać? Tym firmy się nie chwala, ale szacunki ekonomistów i branży mówią o efektywności rzędu kilku procent. – Według moich kalkulacji recykling materiałowy odpadów zmieszanych jest na poziomie 2-3 proc. Ten efekt jest niewspółmierny do nakładów – twierdzi dr Marek Goleń ze Szkoły Głównej Handlowej.

Kosztowne przetasowanie

Problem też w tym, że przespaliśmy poprzednie lata. Zadawaliliśmy się poprawą poziomu recyklingu rzędu 2 proc. rocznie, jaki utrzymywał się od czasów reformy śmieciowej z 2012 r. Skutek jest taki, że mamy obecnie do pokonania ogromny dystans. Zgodnie z unijnymi wymogami ponad 50 proc. odpadów komunalnych ma zostać poddanych recyklingowi. To bardzo ambitne zadanie, bo dziś udaje się nam tak przetworzyć ok. 27 proc. odpadów.

Zbliżyć nas do upragnionego poziomu i zatamować falę podwyżek miała ostatnia nowelizacja ustawy czystościowej, która zmieniła reguły gry. Rządzący uwolnili do tej pory regulowany sektor gospodarki. Co to oznacza w praktyce? Dziś, upraszczając, mamy wolny rynek, w którym dotychczasowe umowy i obowiązki zostały zniesione. O ile w poprzednim systemie każda gmina była przypisana do najbliższej sortowni, o tyle teraz mogą one wozić odpady tam, gdzie firmy żądają mniejszej zapłaty. Rządzący przekonywali, że pozwolili to ukrócić monopol, czyli praktyki, gdy instalacje – mając pewność, że dostaną odpady od przypisanych im gmin – mogły dyktować ceny.

Na razie skutek okazał się odwrotny od zamierzonego, bo przedsiębiorców ubywa, a śmieci w gminach przybywa. Wbrew intencjom ustawodawcy to nie firmy i zakłady konkurują między sobą o odpady, tylko gminy walczą o to, by ktokolwiek je od nich wzięł. Tak jest chociażby w spalarni w Rzeszowie, która w zeszłym roku odbierała lokalne odpady za ok. 260 zł za tonę, a teraz gminy z innych rejonów kraju płać jej nawet 730 zł. Innymi słowy, na obecnej sytuacji korzystają bogate samorządy, które są w stanie płacić więcej i nie mają oporów, by wozić odpady przez pół Polski, bo i tak na tym oszczędzają.

Neapol nad Wisłą w 2020 r.

Dziś nic nie wskazuje na to, by sytuacja miała się poprawić. Sytuacja na rynku jest niestabilna, a ceny rosną – co zniechęca do inwestowania. Dodatkowo na gminy spadną w przyszłym roku kary za niewywiązanie się z 50-proc. poziomem recyklingu. Gra toczy się o ogromne kwoty, bo za każdą tonę nieprzekazanych do przetworzenia śmieci gminy będą musiały płacić 270 zł kary. W su-

mie – jak oszacował to na podstawie danych z lat 2017-2018 Paweł Głuszynski z Towarzystwa na rzecz Ziemi – tylko 16 miast wojewódzkich może zapłacić ponad 211 mln zł. W skali kraju kwota ta przekroczyłaby miliard złotych. Kary wymierzą inspektorzy ochrony środowiska, a pieniądze trafią do wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej.

Czy są jakieś pomysły, by uzdrowić rynek, powstrzymać podwyżki i poprawić recykling? Propozycje ekspertów są różne: poluzować część przepisów na kilka lat, aż nie zmoderinizujemy lub nie wybudujemy lepszych zakładów. Zezwolić firmom wywozić frakcję łatwopalną do spalarni w krajach skandynawskich, które mogą jeszcze przyjąć odpady. Nałożyć większe wymogi na producentów, którzy wprowadzają na rynek opakowania nienadające się do recyklingu i kazać im za to więcej płacić. Wreszcie, uszczelnić system, wprowadzając Bazę Danych o Odpadach (BDO), system informatyczny, który w założeniu pozwoli śledzić trasę każdej śmieciarki i wyeliminuje nieuczciwe praktyki.

Które pozycje z tej listy mają szansę się ziszczyć? Wydaje się, że dwie ostatnie, czyli uruchomienie BDO i wdrożenie systemu opłat dla producentów, nad którymi prace już trwają. Czas jest na wagę złota. Baza ma ruszyć już w styczniu. Branża ma jed-

Za miliardy złotych wybudowaliśmy sortownie, które branża określa jako „fabryki śmieci ze śmieci”. Innymi słowy: odpady są mechanicznie oddzielane, zaś ich większa część rozkłada się na hałdzie obok

nak obawy, że system – choć wystartuje w terminie – nie będzie w pełni funkcjonalny (obecnie zarejestrowana jest około połowa firm), co spowoduje jeszcze większy chaos na rynku lub wręcz jego paraliż. Z kolei regulacje dotyczące opakowań i opłat producentów musimy wdrożyć do lipca przyszłego roku, bo tego wymaga od nas unijna dyrektywa. To złożona reforma, gdzie waży się losy miliardów złotych. Na tyle bowiem wyceniane byłyby dodatkowe koszty przemysłu, gdyby zdecydowano się doliczyć do każdej plastikowej butelki 2 grosze, które zasiliłyby system recyklingu. Dotychczasowe wstępne propozycje, jak rozwiązania te miałyby wyglądać (ile płaciłby przemysł, kto ustalałby stawki, na jakich zasadach), są bardzo ogólne i spotkały się z krytyką z wielu stron. Nowa propozycja miała zostać przedstawiona w listopadzie. Do tej pory nie słyhać, kiedy takie spotkanie konsultacyjne z branżą miało się odbyć.

Wizja nadchodzących miesięcy jest jeszcze osnuta mgłą niepewności z powodu ostatnich zmian kadrowych w rządzie. Nie wiadomo, kto będzie podejmował ostateczne decyzje i z kim rozmawiać w sprawie ewentualnych reform. Resort środowiska podzielono na dwa odrębne byty: stare Ministerstwo Środowiska i nowe Ministerstwo Klimatu. Gospodarka odpadami, jak zapowiadał to premier Mateusz Morawiecki, miała znaleźć się w kompetencjach tego drugiego.

Branża niepokoi się, że przetasowania i organizacyjny chaos jeszcze potrwają. A to złe wiadomości, bo problemy, przed którymi stoimy, wymagają szybkich, strategicznych i zdecydowanych reakcji rządu. I chociaż katastrofy prawdopodobnie nie unikniemy, to można nieco złagodzić uderzenie. Kurs kolizyjny był utrzymywany zbyt długo, by dziś dało się powstrzymać Titanica płynącego ku śmieciowej górze, której czubek wyłania się z wody tuż przed nami.